



BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pisma peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kor. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60, rocznie rub. 7 kop. 20, z 20 tomami rub. 9 kop. 20, w oprawie rub. 12 kop. 20. Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wilenska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Kresowach: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50, z 20 tomami rub. 13 kop. 20, w oprawie rub. 16 kop. 20. Cena numeru pojedynczego kop. 40.

Pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.

Ekspedycja Główna ulica Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza“ po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego“ w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,30.

Wszyscy przedpłaćciele „Bluszcza“ wnoszący opłatę za cały rok z góry, mogą nabywać 20 tomów za rubli dwa, z przesyłką rubli 3 kop. 20, prawdziwie wartościowych wydawnictw: „Książnica Polska“ i „Książnica.“ Życzący mieć tomy oprawne ozdobnie w płótno angielskie z wyciskami, dopłacają po kop. 15 za tom.

OD REDAKCYI.

Z 20-tu tomów „Książnicy“, przygotowanych dla prenumeratorów „Bluszcza“, wysłane już zostały:

„Godziny więzienne“, utwory zakazane Gorkiego, Andrejewa i Korolenki.

„Zakazane“ Wiktora Gomulickiego.

„Starościc ukarany“, A. N. Nowaczyńskiego.

„Uczta Baltazara“, W. Grubińskiego.

Do niniejszego numeru dołącza się:

„Kapitał i praca“ W. Kuszla.

LUD ZACZYNA MÓWIĆ.

Zwyczajna to u nas rzecz, myślą wybiegać daleko i obejmować ludzkości całe ogromy, a nie widzieć, nie chcieć widzieć tego, co się dzieć poczyna na własnym naszym podwórku, co kielkować zaczyna na własnym naszym zagonie. Znać na nas, och, jak jaskrawo znać, że nie byliśmy wychowywani podług zasad racjonalnej pedagogii, która nakazuje przechodzić od znajomości rzeczy blizkich, do poznawania dalekich. Ot, weźmy choćby pierwszą z brzegu kwestyę, blizką i palącą, pomimo, że dotąd takiej etykiety nie otrzymała; weźmy stosunek naszej inteligencji do ludu wiejskiego. Czyż ten stosunek na obustronnej nieznanomości i nieufności oparty, ogół nasz uważa za zadawalający, za normalny, że tak uparcie milczy o tem. A może pod tem milczeniem kryje się strach przed Prawdą, która nieraz miewa twarz surową i grozy pełną. A może to lęk przed przyznaniem się do własnych słabości, błędów, karygodnej lekkomyślności...

A może i jedno i drugie.

Tymczasem faktem jest, że nasza inteligencja, która na papierze i w czynie zajmuje się

ludem i pracuje dla niego nieraz z wielkim zapałem i wytrwałością, z małymi wyjątkami nie zna zupełnie ludu, nie rozumie jego pragnień, dążeń. Dla niej ten lud, to sfinks milczący, który słowa zagadki wypowiedzieć nie myśli i pozwala, aby ogół tworzył sobie o nim legendę fantastyczną, zupełnie do prawdy istotnej niepodobną.

Do niedawna olbrzym ludowy zupełnie nie zabierał głosu w swoich sprawach, za niego i rzekomo w jego imieniu mówili różnie różni ludzie, a więc, przedstawiciele duchowieństwa, szlachty, inteligencji, czasem tu i ówdzie dał się słyszeć głos jakiegoś „Paradebauera“, który na wiecu lub zebraniu urządzonem przez taką lub inną partyę, mówił to, co chcieliśmy z ust jego usłyszeć.

Ale głosy takie, nie oddawały dokładnie tego, co wiekowe milczenie nagromadziło w zbiorowej duszy ludu. Teraz podnoszą się takie głosy tu i ówdzie, z ust zaciśniętych padają słowa tętniące nutą niecierpliwości. „Pokądże milczenia! Wypowiedzmy, co mamy na sercu. Niechaj to wiedzą inteligenci. Tak lepiej będzie dla wszystkich.“

Najbardziej może charakterystyczne opinie chłopskie ukazują się z ludowej mównicy, noszącej miano „Siewby.“ To pismo, utrzymywane, redagowane i zapełniane utworami chłopskimi, zaczyna zwracać na siebie uwagę nutą szczeroci i bezwzględnej swobody.

Jakaś powagi pełna, piestowska prostota i otwartość wieje z kart tego pisemka, wolnego od zabarwienia politycznego. Dwutygodnik ten, założony został przez duchową tężyznę chłopską powiatu Radzymińskiego. Redaktorem jego jest Jan Kielak, gospodarz z Chrześnego, redakcyja mieści się w Tłuszczu, a więc na wsi.

Pismo to zasługuje na czytanie, choćby z tego względu, że jest ono wiernem odbiciem opinii chłopskich. W jednym z artykułów ostatnich tego pisma, Ludwik ze Stoczka dotyka stosunków pana do chłopca i tak pisze:

— Jako chłop z krwi i kości interesowałem się zawsze tem, jak panowie są względem nas usposobieni: życzliwie czy wrogo. Ale gdyby

mnie spytano: „Czy panowie życzą nam wszelakiej pomyślności i szczęścia, czy pragną, żeby nas wszyscy dyabli wzięli?“ — doprawdy, nie umiałbym na to odpowiedzieć.

A więc ze strony ludu jest już zupełnie jawne przyznanie się do nieznanomości tych, co stoją „u góry.“ Powyżej przytoczyliśmy opinię, wypowiadającą znów z całym naciskiem życzenie wzajemnego poznania, które możliwem będzie wtedy, gdy dzień otwartego wypowiedzenia się obustronnego minie.

Może to będzie dzień gromowy, ale po nim, jak po burzy, możliwą jest jasna, trwała i owocnej, wspólnej pracy przyswiecająca — pogoda.

Dzisiaj zaczynamy (przynajmniej niektórzy) rozumieć to, i do zagrania w otwarte karty nawoływać. Zaczynamy rozumieć, że dłuższe, techórzliwe milczenie i wmawianie w siebie, że tak jak jest, dobrze jest, jest taktyką, która stosowana dłużej, może nam przynieść owoce piolunem zaprawione, może serca zakrwawić, co nienawiści w miłość bratnią zmienić nie umiały w porę. A więc, póki czas jeszcze, miejmy odwagę zapoznać się bezpośrednio z ludem, z jego myślą, tak długo tajoną. Miejmy odwagę wyjść naprzeciwko tego ludu i jasno i wyraźnie spytajmy się go czego on chce? dokąd idzie? Czy tam, gdzie on idzie, pójdzie z nami, czy bez nas. Jakie są jego najważniejsze pragnienia na dziś?

Tego wszystkiego my dziś nie wiemy. Więc pytajmy się o to poważnie, życzliwie, szczerze; zwracajmy się po zapytania do znanych nam osobiście włościan, zasięgajmy informacji z pism ludowych, a po otrzymaniu wyczerpujących i szczerych odpowiedzi, informujmy o nich szerszy ogół i liczymy się skrupulatnie z tym głosem milionów, pogrążonych dotychczas w tępem milczeniu. Strzeżmy się błędu, decydowania tam, gdzie *o nich idzie, bez nich*,

I jeszcze raz powtarzam, czytajmy uważnie takie pisma, jak: „Siewba“, „Zagon“, „Zorza“, a przyjdziemy łąco do przekonania, że mamy już w kraju naszym większą gromadę inteligencji chłopskiej, niż to przypuszczamy, przekonamy się też, że uświadomienie poli-

tyczne i społeczne mas ludowych szerzy się u nas z szybkością pożaru na stepie.

Jakiego rodzaju jest to uświadczenie? Jakimi pierwiastkami jest ono zabarwione? ku jakim zorzom podnoszą się w zachwyceciu chłopskie głowy, ku czemu wyciągają się ich spracowane dłonie? To poznać, wyrozumieć i z tej wiadomości odpowiednie praktyczne wyciągnąć wnioski, oto zadanie nasze — inteligencji polskiej. To zadanie wali się na nas z żywiołową siłą i biada nam, jeśli go w porę podjąć i spełnić godnie nie potrafimy.

St. Pcrzaj.



MARYAN GAWALEWICZ.

BEZ CELU.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

III.

Od dwóch lat, relegowany student Politechniki, Edmund Lebicki, pędził z konieczności żywot nieokreślony; nie wiedział, co z sobą począć, jak się pokierować, czego chwycić, czy przerwane tak nagle studia porzucić raz na zawsze i zrobić krzyżyk nad dalszą karierą, czy przeczekać tę burzę, która ścigała nad całym krajem, nad głową całego społeczeństwa i nie dawać za wygraną w walce z losem, wytrwać i doczekać się pogodniejszych dni dla wszystkich, a więc i dla siebie samego.

Dokoła niego wrzało, huczały jakieś podziemne gromy, niesły się echa nadciągającej nawałnicy, która miała przewracać zmurszałe słupy dotychczasowego porządku, burzyć fundamenty całego gmachu społecznego, zrywać stare, ciasne, ciężące nadto wiązania.

Tajemnicze głosy nawoływały śpiących, jak w przeddzień sądu ostatecznego; „Budźcie się!...“ — rzucały hasła gromkie, jakieś rozkazy nieodzowne, jakieś wezwania śmiałe do czynu, do pracy, do ruchu, wskazywały nowe cele, nowe drogi, zapowiadały coś wielkiego, coś postanowionego, co stać się musi, przejmowały dreszczem grozy i nieokreślonej nadziei, potężniały coraz bardziej, rosły, zlewały się z sobą w chaos chwilami, a chwilami znów wyrwały się z niego, jak surmy bojowe, jak trąby Jerychońskie...

Nawet najbardziej sennie, ociężałe, rozleniwione dusze płoszył, podniecał ten gwar; zdawało się, że jakieś niewidzialne palce podskubują im obwisłe skrzydła i pobudzają do lotu.

— Zerwijcie się, podnieście, świtanie blisko, a z nowym dniem wszyscy polecim na wyraj ku słońcu!...

A dusze młode, świeże, rażne, jak ledwie wypierzone ptactwo, zrywały się pierwsze ze swoich gniazd i ucuwały żywiołowy pęd w sobie orląt i sokolików, którym wyprężaly się loty do szybowania szerokim kręgiem.

W Lebickim, od pierwszego podmuchu rozgorzało młodzieńcze serce, zapalne, wrażliwe, szlachetne z natury, żądne wielkich uczuć i głębokich, niepowszednich wstrząśnień: serce urodzonego idealisty.

— Wiesz, Róziu — mówił do siostry, — jest mi tak, jak gdybym do tej pory spał snem fabrykanta Niemca, a dopiero teraz po raz pierwszy otworzył oczy i przejrzał. W jakich my strasznie cudownych czasach żyjemy!... Powiedz, czy ty to czujesz tak, jak ja?... czy ty widzisz, żeśmy zbudzili się w zaraniu jakiejś wielkiej epoki, w której każdy z nas może zostać bohaterem?... Rózieczko, jabym teraz nie chciał umrzeć, choćby mi całe niebo dawali po śmierci!... Życ, żyć i patrzeć co się dzieje, co będzie jutro, pojutrze, za tydzień, za rok, za lat dziesięć!... Wiesz, co będzie?... będzie szczęście dla wszystkich, takie szczęście, że nawet groby zadrzą, pootwierają się i powstaną z nich umarli, aby się dziwić i cieszyć z nami!

— Gdyby tak było, to powstałaby i mama, aby zobaczyć nas szczęśliwych, — zauważyła ze smutnym uśmiechem, — ale niestety, tak nie będzie, mój drogi!...

I patrzyła na brata przez łzy radości i współczucia, widząc jego młodzieńczy zapal, jego silną wiarę w przyszłość, jego optymizm.

Sluchając go, miała jakąś macierzyńską dumę w sercu, chociaż niekiedy przejmował ją lęk o niego, szczególnie od czasu, gdy Strzałkówna zaczęła częściej bywać w ich domu i jako zapalona działaczka, wciągnęła go „do roboty“, i popchnęła niemal do rozmaitych zajęć „organizacyjnych.“

Znajomość ze Strzałkówną sięgała wprawdzie w bardzo dawne lata, kiedy jeszcze rodzice ich sąsiadowali z sobą prawie o mieczę i za swoich świetnych czasów majątkowych utrzymywali zażyłsze nawet stosunki towarzyskie.

Po rozbiciu fortuny Lebickich wszelako rozeszli się na długo i zapomnieli o sobie; dopiero przypadek sprowadził ich znowu razem na bruku miejskim, gdy Różia zmuszona własną pracą zarabiać na życie dla siebie i brata, poświęciła się całkowicie zawodowi nauczycielskiemu.

Na jednej z pensji poznała w uczennicy swojej najmłodszą Strzałkównę, piętnastoletnią wówczas Bronię, przez którą związała znowu dawne stosunki z jej matką i siostrami.

Strzałkowie po śmierci ojca stracili również prawie cały majątek i przenieśli się do miasta.

Z trzech córek, Seweryna, najstarsza, pozostała panną, nie znalazłszy odpowiedniego konkurenta w czasach, gdy należała do posażnych partyi, a zrezygnowawszy później sama z małżeńskich pretensyj, gdy przekroczyła falalną trzydziestkę i straciła powab młodości.

Nie uchodziła nigdy za ładną i ponętą, miała rysy grube, nieregularne, surowe, które z latami nabrały wyrazu jakiejś chmurnej i ponurej energii.

Z doby obecnej.



(Karnawał warszawski. — Moja obecność na balu. — Trochę o sukniach. — Oburzające cyfry. — Baw się, Warszawo! — Wszystko na dobroczynność. — Szampan również. — Sprzeniewiercy narodu. — Jubileusz niezwykłego zakładu).

Mamy podobno karnawał... i to już od tygodni kilku...

Przynajmniej tak głoszą „Kuryery“, że to, co się obecnie odbywa, ma się nazywać „karnawałem.“ Nie będę się sprzeczał o terminologię, jeśli już jednak chcecie koniecznie, niechże to będzie i karnawał, ale karnawał taki kulawy, niezdarzony, jedną nogą przydeptujący drugą, co chwila się potykający...

Ładne czasy, niema co mówić!

Zdjęty ciekawością, nie, jako podpierający od urodzenia piece na wszelkiego rodzaju balach, ale jako godność pełniący publicysty, wybrałem się i ja sługa pokorny „Bluszczu“

na jedną z zabaw publicznych, mając na widoku, nie tańce, których nie uprawiam, ale obserwację ludzi, przybyłych w celach zaprezentowania strojów i odskakania za całe dwa lata ostatnie.

Pozornie, bal ów nazywał się „rautem“, pozornie panie sprawiły sobie suknie, aby dać jedynie „zarobić szwaczkom“, pozornie panie zjawily się wcale nie po to, aby tańczyć, lecz raczej, aby przyjść z pomocą biednym dzieciom, zostającym pod opieką ochronki, na której cele urządzono ową raut-zabawę.

To wszystko widniało wypisane niemal na każdym czole tancerki, dodałbym może jeszcze, że żadna z młodych tancerek nie przyszła na bal, aby nuż, od wypadku, nie poznać się i następnie wyjść za... no, ale wiem z góry, że niktby w to wcale nie uwierzył!

Powracajmy więc do owej zabawy.

Zasiadłszy się w kącie na wygodnej kanapie, rzędem z najszanowniejszymi matronami (co mi sprawiało wielki zaszczyt!) mruczający,

sluchający i patrzący, zająłem stanowisko obserwacyjne.

Ocho... przysuwa się już czarny pan w białym krawacie, gorsie i rękawiczkach i — składa ukłon tancerce z przeciwka. Wśród mojej prawicy szmer... Matrony się poprawiają, ta i owa chrząknie, zakłada binokle, przykładając lornetkę i — robi to samo co i ja, to znaczy patrzy, trochę nawet mniej może, bo mnie nie słuchają, ja zaś wyteżam słuch, co owe zacne moje sąsiadki zaczną komunikować sobie za informację.

— A wie też pani mecenasowa, ile kosztuje suknia tej oto blondynki?

— Nie, nie wiem, ale ciekawa, bo doprawdy..

— No, niech pani zgadnie!

— Wygląda na sto...

— Ha, ha, ha, ha!... ależ z pani tani kupiec.

— Więc ileż nareszcie, pani rejentowo?!

— Dwieście czterdzieści... Słowo daję dwie-

Kształty zanadto wybujałe i zaokrąglone, straciły z wiekiem estetyczną linię, a przy wzroście dość wysokim, cała fizygnomia sprawiała wrażenie ociężałej bryły, poruszającej się jednak nerwowym, niespokojnym ruchem, właściwym temperamentom chorobliwie wrażliwym i sangwinicznym.

Nosiła włosy krótko obcięte, po mężku, i stalowe binokle na grubym, czarnym sznurku jedwabnym, który zakładała za prawe ucho; ubierała się czarno, nie dbając ani o modę, ani o elegancję, pozbywszy się wszelkiej pretensjonalności kobiecej.

— Nie mam zamiaru nikomu się podobać — wyznawała otwarcie, tonem rubasznym i jakby afektowanym z umysłu; — nie jestem lalką do zabawy, ale niewiastą-człowiekiem, takim dobrym, a nawet lepszym, jak każdy mężczyzna!

Życie prowadziła bardzo czynne i ruchliwe, oddana duszą i ciałem rozmaitym „ideowym“ celom i zajęciom; należała do licznych stowarzyszeń i kółek, w których wiodła rej na skrajnej zawsze lewicy i popisywała się chętnie swoją wolnomyślnością i postępowymi zasadami, nie uznając żadnych ustępstw i kompromisów względem ludzi odmiennych przekonań.

Lubiła dużo mówić, nie pozwalając nikomu dojść do słowa, i być słuchaną, a cechowała ją wielka pewność siebie i przeświadczenie o swojej niepożytej energii, żelaznej sile woli i stanowczości, z jaką twierdziła o sobie:

— Ja się nigdy nie mylę, a jeśli co postanowię, to dopiąć tego muszę, chociażbym miała głową mur rozwaląć!

Nie przeszkadzało jej to jednak zmieniać zdanie dość często i popełniać dużo omyłek, do których się wszelako nie przyznawała nigdy, wmawiając w siebie i drugich, że zawsze miała rację, tylko nie zawsze dobrze ją rozumiano.

Wszystkie sprawy i dyskusje kończyła zazwyczaj jedną konkluzją:

— Ostatecznie jest tak, jak mówiłam i okazuje się, że miałam słusność!

Nie znosiła tego, kto się jej sprzeciwiał, a w polemicznym zapale zajmowała od razu stanowisko opozycyjne, i często zwalczała zaperzona urojone argumenta, nawet tych, którzy się z nią najzupełniej w zdaniu zgadzali i nie pozwolili sobie zwracać uwagi, że niepotrzebnie z takim rozmachem wywala drzwi na ścieżaj otwarte.

Powstawały takie nieporozumienia najczęściej z tego powodu, że słuchała tylko siebie samej i miała z góry powzięte postanowienie, iż o wszystkim ma najlepsze pojęcie ona jedna, więc przyczepiała się do wyrazów, przerywała każdą dyskusję i zapędzała sama siebie w najbardziej krańcowym kierunku, nadając sobie nawet pozory radykalizmu.

W partyach, do których należała, nosiła przezwisko „Niewiasty.“

Mając wielką łatwość słowa, mogła improwizować całe mowy bez przygotowania, miewać wykłady, wylewać szerokie potoki frazesów błyskotliwych, zaprawionych sofistyką, a niekiedy gryzącą ironią, przejmując się zawsze głęboko tem, co mówiła i ztąd na wszystkich zebraniach, wiecach i naradach, na których bardzo chętnie głos zabierała, umiała pozyskiwać sobie uznanie oszołomionych słuchaczy, niezbyt krytycznie przyjmujących jej krańcowe wywody.

Z największych niekonsekwencji można ją było w każdym razie wytłómaczyć tem jednym, że w danych chwilach wierzyła święcie w swoje słowa i była głęboko przekonaną o ich słusności.

Miała też wielką zaletę w poczuciu obowiązku i gorliwości, z jaką spełniała każde, choćby najtrudniejsze i najniebezpieczniejsze zadanie, którego się podjęła.

— Nikt tego tak nie robi, jak Niewiasta! — mawiano o niej w dowód zaufania, pokładanego w jej energii i poświęceniu dla sprawy publicznej; wiedziała o tem, i ta świadomość była bodźcem dla jej ambicji i niezłomnej ruchliwości.

Kiedy po wielu latach spotkała się z Lebicą, od której była wprawdzie o kilka lat

starszą, lecz pamiętała ją dobrze z czasów, gdy obie bywały jeszcze na „białych balikach“ i panińskich wieczornicach w sąsiedztwie, zagarnęła ją od razu pod swoją władzę i przewagą większego doświadczenia, wymowy, rozumowania, temperamentu, potrafiła zaimponować jej, z początku zwłaszcza urokiem działaczki, społeczniczki, kobiety z wyższym, jasno wytkniętym celem, który wypełnił jej życie, oddane sprawie ogółu.

Zawojowała ją tak samo, jak później i Edmunda, w którym odkryła niepospolity materiał na bohatera nowych czasów, człowieka idei, chorążego sztandaru w obozie wolnościowych i rewolucyjnych duchów.

— Na waszem czole jest stygmat pomazańca!.. — powiedziała mu, ściskając mocno jego rękę i wpatrując się bystro w ciemne, głębokie oczy przy pierwszym poznaniu.

Było to na jakimś wieczorku u wspólnych znajomych, gdzie Lebicki jeszcze w mundurku studenckim deklamował z ogniem młodzieńczym „Ode do młodości,“ i uniesiony poezją Mickiewicza, rozwijał potem z zapałem swoje zasady i poglądy na wielkie posłannictwo młodego pokolenia i cudotwórczą siłę miłości, mającej odrodzić świat strupieszalały i we „wspólnych celach“ złączyć wszystkie duchy, pojednać wszystkie serca i dać szczęście całej ludzkości.

Tego wieczoru Seweryna Strzałkówna przyłgnęła do przystojnego młodziana, odkrywszy w nim bratniego ducha i zaciągnąwszy go do kąta, przetrzymała przeszło trzy godziny, mówiąc swoim zwyczajem bardzo dużo, ale wbrew zwyczajowi słuchając także wynurzeń Sokolika z uwagą i przejęciem, które młodemu chłopcu pochlebiali niewymownie.

— Znałam was jeszcze dzieckiem — przypomniała mu, gdy się rozgadali, — dzieckiem, o dużych smutnych oczach, jak czarne malwy. Pamiętam, jeździliście raz u nas w Giewartowicach na gniadym kucyku dookoła klombu przed domem i spadliście wtedy z konia. Ja was podniosłam zabezczane

ście czterdzieści. U tej samej krawcowej robiona suknia, co i dla mojej Zuzi...

— A suknia panny Zuzanny?

— Och, nas nie stać na takie zbytki, wyniosła już z ubraniem sto dwadzieścia...

— Sto dwadzieścia! Ho, ho, niema to, jak być notaryuszem, dla naszej Kazi pozwoliliśmy sobie tylko za 80, a i tak z prawdziwego materiału zagranicznego. Bardzo dobre dodatki...

A ja wciąż siedzę i słucham i kalkuluje. Dwieście czterdzieści rubli na jedną suknię, może na dwa, trzy wieczory! Inna skromniejsza, bo tylko 120 rubli, inna—80! I wszystko tylko dlatego, aby „szwaczki zarobiły...“

Nie, to drwiny, to rzucanie nam w oczy piaskiem, nam stróżom sprawy społecznej!

W kraju głód, nędza, rozpacz, a tu setki, tysiące, dziesiątki tysięcy śle się zagranicę!

Ileż weźmie od roboty, za wykończenie sukni magazyn warszawski? Powiedzmy: dwa-

dzieścia pięć rubli, z tego naprawdę na owe „szwaczki“ pójdzie dwanaście rubli, dwieście piętnaście wędruje za granicę, na uciechę Prusaków, którzy z nowymi środkami nowe rozpoczynają będą walki z żywiołem polskim w Księstwie Poznańskim.

Zzymam się więc i wściekam na owe „obywatelki kraju,“ z takim poświęceniem tańczące na „dobroczynność,“ ale nie opuszczam Sali Techników i czekam na kolację. Zapłaciłem, wolno mi swoje odjeść.

O pierwszej w nocy podają jedno jadło. Nie zdążyli przynieść drugiego, kiedy butelki na prawo i na lewo strzelają, pif, paf!..

Uh!.. coraz lepiej!.. I z tego podobne mają zarobek „szwaczki“ i nasza „dobroczynność...“

Nie, darujcie państwo... Ale mi brak słów na godne określenie takiego postępowania. Czyż to i bez szampana obejść się nie możemy, my, naród Łazarzów, naród, którego krew ofiarą łuną bije od ziemi naszej nieszczęśliwej! I wy,

rozbawione tłumy, podochocone trunkiem, tancerki w drogich i wykwintnych strojach, macie czoło pokazać się następnie na ulicy, gdzie w twarz wam spojrzy nędzarz-robotnik, który od dwóch dni nie miał strawy w ustach. Wy, obywatele i obywatelki?! Patryoci i patryotki?! Wy, którzy urągacie nieobecnyemu w kraju, odmawiacie im prawa do nazwy Polaka, wy sami manifestacyjnie lejecie szampana, trwonicie grosz krajowy!

Przeszło sto butelek szampana wypito na owym jednym balu. Tysiąc rubli za samego szampana w ciągu jednej nocy wydarto z kieszeni narodu.

Słyszycie!

Zaprawdę nieszczęśliwe, bo lekkomyślne społeczeństwo. Wrogowie kraju. Marnotrawne ojczyzny syny. Nie lepszycie od Targowiczan, co Polskę wrogom zaprzędali.

Na niewłaściwość pory urzędowania w tym roku zabaw karnawałowych, pogląd swój wyraziłem jeszcze w numerze 1-ym „Bluszczu.“

go, wzięłam na ręce i całowałam, a wyście mnie objęli, ot tak, za szyję rączkami, i powiedzieli: „Nie siądę już nigdy na kuca, tylko poczekam aż dorosnę, to mi papa da dużego konia i wtedy, zobaczy pani, jak będę galopował!... mały koń jest głupi i to jest wstyd spaść z takiego małego konia.“

Zdziwił się jej pamięcią tak dokładną.

— Ja to na prawdę powiedziałem? — pytał z niedowierzaniem.

— Słowo w słowo!... mieliście wtedy nie więcej, niż pięć albo sześć lat; pamiętam doskonale. Ja się nigdy nie mylę, trzeba wam wiedzieć!... I wiecie, czemu mi się to dziś przypomniało?...

— Nie mam pojęcia.

— Przypomniało mi się, kiedym was słuchała deklamującego, kiedy was teraz słucham i patrzę na was. Papa wam dużego konia już nie da, ale los ofiaruje wam innego wierzchowca, na którym będziecie harcowali, jak nieustraszone jeźdźce.

— Nie rozumiem, co pani przez to chce powiedzieć, — rzekł, łamiąc sobie napróżno głowę nad ukrytą aluzją w jej słowach.

— Nie rozumiecie?... a przecie to tak jasne. Z was bije młodość, życie, teżyżna, wam trzeba ruchu, wy nie możecie siedzieć gnuśnie i marnować tyle żywotnych sił. Powiedźcie mi, co robicie?...

Zarumienił się, jak pensjonarka.

— Jakto, co robię?... uczę się, jestem na drugim kursie wydziału mechanicznego.

— Głupstwo!.. nie o to chodzi — przerwała mu, — pytam, czy robicie jaką robotę społeczną?... należycie do organizacji? do jakiej partii?...

Zmieszał się i oczy spuścił, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć.

Wówczas jeszcze trzymał się zdaleka od wszystkich związków i obkuwał się po nocach, aby nie przepaść przy egzaminach.

Z zająknięciem zdobył się na odpowiedź nieśmiałą:

— Chciałbym!...

Wyciągnęła do niego rękę, jak werbownik, który natrafił na ochotnika.

— Chcielibyście?... Cudownie!... pomówimy o tem jutro. Przyjdę do was!... albo lepiej wy przyjdźcie do mnie. Pogadamy!

Przypatrywała mu się bystrym wzrokiem z pod gęstych, zrosniętych prawie brwi, a w oczach jej, pomimo ponurego wyrazu, zamigotały jakieś dziwne błyski, gorące, pożądlive...

Ale młodzian oszołomiony nie zauważył ich wtedy, bo patrzył na stojącą po za krzesłem starszej siostry dziewczynę w pensyonarskim mundurku z kosami spuszczone poniżej pasa, z oczyma, jak niezapominajki, z dwoma uroczymi dołeczkami na okrągłej, zarumienionej buzi i usteczkami otwartymi dziecięcym jakimś uśmiechem.

— Co mi się ta gaska tak przygląda? — myślał i mimowoli sam nie mógł oderwać oczu od twarzyczki panny Broni Strzałkówny.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Skryte posepem trumiennego wieka...



Skryte posepem trumiennego wieka

Zwątpienie w sercu mem tkwi

Wyziębły popiół purpurą ocieka

Męczeńskiej krwi.

Zwarły się w mroku — na wieki zatrzęsły

Jakieś promienne drzwi;

Na stos ofiarny, w mej duszy wygasły,

Spływają strugi krwi.

Blaskiem klejnotów swych mi nie zapłaci

Tęcza, co pała i lśni,

Za prochy zmarłych świetlanych postaci,

Tonących w krwi...

Witold Domański.

Wiec Matek.



Piękna sala Stowarzyszenia Techników zapelniona po brzegi. Tłumy płci obojej cisną się pod estradę, by lepiej śledzić przebieg obrad, — wyczuwamy nastrój żywego zainteresowania, świadczący o tem, jak gorąco sprawy wychowania ogół nasz obchodzą.

Na odgłos dzwonka audytorium się uspakaja, a p. Aniela Szycówna, znana na polu pedagogii autorka, zagaja zebranie.

Wiec urządzono staraniem komitetu wydawnictwa zbiorowego imienia Elizy Orzeszkowej, p. t.: „Kobieta w życiu społecznym,“ a p. Szycówna zaznaczywszy jak żywo zajmowały tegoroczną jubilatkę sprawy wychowania, jak doniosłym był jej wpływ na urabianie pojęć współczesnego pokolenia, zaproponowała, by zebrani w pięknym celu radzenia nad reformami wychowania, zwrócili się przede wszystkim do tej „wielkiej wychowawczyni naszego społeczeństwa“ i zbiorowym telegramem cześć jej wyrazili.

Projekt ten przyjęto przez aklamacyę, poczem p. Szycówna wyjaśniła zebrany, iż właściwym celem wiecu będą narady nad ostatnim punktem kwestyonaryusza, przez wyżej wzmiankowany komitet wydawniczy skierowanego do matek, a mianowicie:

„Jakie reformy pedagogiczne są najbardziej pożądane w fizycznym, moralnym i umysłowym kształceniu młodzieży, w organizacji szkolnictwa, w wychowaniu kobiet ze względu na obowiązki macierzyńskie, w literaturze pedagogicznej ze względu na potrzeby matek.“

Temat, jak widzimy, bardzo rozległy, zbyt rozległy, by wszystkie jego punkty w szczupłych ramach jednego wiecu omówione być mogły.

Uznał to widać przewodniczący zebrania, p. Jeziński, i w pierwszej połowie swego przemówienia, ująwszy w syntezę główne zadanie wychowawcze, w dalszym ciągu zwró-

Wolno mieć jednak zdanie odmienne. Nie potępiam tych, co drogą swojej koncepcji myślowej doszli do wniosku, że jednak młodych marynować nie można, że prawo do zabawy może mieć każdy.

Powtarzam, mogą istnieć dwa zdania na sprawę obecnego „karnawałowania.“ Ale może być tylko jeden wyraz opinii, że:

1) sprawianie drogich sukien zagranicznych,

i

2) wydawanie tysięcy rubli na szampana — jest w chwili obecnej najprostsza zbrodnia narodowa!

Mówię wam, wszyscy, którzy się krajowi sprzeniewierzacie, prawdę, całą gorzką prawdę, bo milczeć lub tuszować takie postępowanie równałoby się — usprawiedliwianiu was. A nie ma w Polsce rzecznika sprawy publicznej, narodowej, który ośmieliłby się znaleźć wyrozumienie dla was.

Złe czyny muszą być karcone publicznie. Kto się nie zgadza ze mną, niech rzuci we mnie kamieniem.

Tak złorzecząc, byłbym zakończył dzisiaj feljeton dla „Bluszcza,“ gdyby szczęśliwym trafem nie zdarzyło mi się być w owym czasie na pewnej uroczystości nie przeciętnej w naszych stosunkach krajowych, bo uroczystości świadczącej o żywotności pewnych sfer społeczeństwa, o dzielności i zapobiegliwości jednostek, którzy faktyczną ostoję dobrobytu naszego stanowią.

Takiej instytucji, jak zakłady fotochemiczne p. B. Wierzbickiego, śmiało zaśluzowały sobie, aby im zrobić reklamę, o ile w ogóle one jeszcze reklamy potrzebują.

Z powodu 10-lecia istnienia tej firmy, zebrało się nas około 200 osób. W lwiej części artyści, literaci, redaktorzy, publicyści, rytownicy, drukarze.

Dziesięć lat zaledwie istnieje ta firma, będąca dziś podporą wszystkich pism ilustrowanych i wydawnictw w Warszawie, a oto powstałszy niemal z niczego, wyrosła na pierwszorzędną zakład, nie tylko, jak na Królestwo Polskie, ale na Europę nawet.

Pan B. Wierzbicki rozpoczął przygotowywanie klisz ilustracyjnych na użytek piśmiennictwa polskiego, niemal bez kapitału żadnego, bez podstawy szerszej, a jednak w ciągu lat dziesięciu umiał dojść i doprowadzić swój zakład do takich rozmiarów, że obsługuje już dzisiaj niemal wszystkie ilustracje polskie.

Zebraliśmy się też licznie na ten niezwykle w dziejach drukarstwa i prasy polskiej jubileusz, aby podnieść zasługi człowieka, któremu mamy do zawdzięczenia, że setki tysięcy rubli nie idą zagranicę, że pisma nasze mamy technicznie obsługiwane przez Polaka, że dzięki jemu może być w ogóle mowa o prawidłowym rozwoju ilustratorstwa polskiego.

Kiedy tu tyle ludzi pracuje u nas *pour le roi de Prusse*, miło jest zaznaczyć, że przecie są i tacy, którzy raczej na krzywdę jego działają. Że mimo czarnych kruków, obwieszających nam upadek, są dziedziny pracy, które chlubnie świadczą o naszej energii.

Stefan Gorski.

cił uwagę obradujących przedewszystkiem na jeden punkt wychowania, dotąd bardzo zaniedbany i źle traktowany.

Zestawiając kierunek moralnego wychowania dziewcząt i chłopców, zwrócił mówca uwagę na olbrzymią różnicę, która się tu uwydatnia.

Dziewczęta strzeżemy przed zbrukaniem myśli i uczuć, podczas gdy stronę obyczajową u chłopca pozostawiamy w zaniedbanii. Zdaje nam się wystarczającym, gdy w chłopcu pielęgnujemy tylko te właściwości, które zapewnić mogą mu przewagę w trudnej walce o byt, hodujemy w nim przymioty „buldoga“, a sferę uczuć i myśli pozostawiamy otwartą na oścież dla wszelkich przygodnych wpływów. Złe wpływy wcześniej się tam dostają, czyniąc ogromne spustoszenie. Szczepić więc należy w młodzieży miłość ideałów i czystość uczuć, drogą właściwego uświadamiania. Młodzież powinna znać przyrodę i patrię na nią spojrzeniem jasnym i czystym...

Z tego punktu przemówienia wywiązał się temat „uświadamiania“ młodzieży, który w dalszym ciągu podjął następny mówca, d-r Wernic, redaktor czasopisma „Zdrowie.“

D-r W. twierdzi, że racjonalne uświadamianie młodzieży co do życia płciowego powinno się zaczynać wcześniej, albowiem przykłady dowodzą, jak dalece dzieci wcześniej się o tych sprawach informują, informację zaś zwykle z bardzo mętnego płyną źródła i udzielane bywają w sposób budzący przedwczesne popędy i podkopujący system nerwowy. D-r W. rozdzielił sprawę uświadamiania na trzy etapy: przed wstąpieniem do szkoły chłopiec powinien znać prawa przyrodnicze rozmnażania życia, następnie w okresie szkolnym, powinien się dowiedzieć o różnych wykroczeniach i ich skutkach, nareszcie w wyższych klasach powinien przejść formalny kurs higieny specjalnej.

Następny mówca, d-r Augustyn Wróblewski, redaktor pisma pod tytułem: „Czystość,“ w słowach pełnych zapału wzywa społeczeństwo do współdziałania w wielkiej reformie obyczajowej, której w imię dobra młodzieży naszej dokonać należy, „będzie to wielka etyczna rewolucja, rewolucja torująca nam drogę do odrodzenia narodowego, gdyż gdzie nie ma moralności, tam nie ma siły, a gdzie nie ma siły, tam nie może być wolności! Reforma ta jest możliwa, zupełna abstynencja młodzieży jest możliwa, trzeba tylko w nią uwierzyć!“

Rzęsistemi oklaskami przyjęli słuchacze to gorące przemówienie propagatora czystości, który, jak sam oświadczył, krzewieniu tej idei życie całe poświęca.

Z kolei na mównicę wstąpił ks. rektor Gralowski i zaznaczył na wstępie biegunową sprzeczność pomiędzy wypowiedzianymi poglądami a otaczającym nas życiem. Reforma projektowana jest konieczną, ale nie jest łatwą,— trzeba też koniecznie zmienić atmosferę naszego życia, zmienić jego stronę obyczajową...

Tu ostre słowa krytyki dostały się kobietom, słowa, przyznać należy, z wielu względów słuszne i prawdziwe. Kobiety drażnią mężczyznę zalotnością, rozwielnionym flir-

tem, strojem obliczonym na pobudzenie zmysłowości...

Mówca podniósł dalej konieczność zreformowania szkół na wzór szkół angielskich, gdzie młodzież znajduje konieczne wyładowanie swej energii w sportach i fizycznych zajęciach, wreszcie położył nacisk na ważność oddziaływania na wolę przez uczucia religijne.

Pomiędzy mówcami wywiązała się dyskusja, która właściwie polegała tylko na wyjaśnianiu nieporozumień, lecz nie dotyczyła kwestyi zasadniczych.

Przemawiał jeszcze p. Łypacewicz, podnosząc konieczność reform ekonomicznych, któreby usunęły nędzę, jako najpierwszą przyczynę prostytucji.

W końcu zabrała głos p. Sempołowska, a mówiła pięknie i z ogromnym zapałem. Uczyć powinniśmy młodzież przedewszystkiem poszanowania wielkiego skarbu, jakim jest dusza ludzka. Dusza nasza i dusza bliźniego, to rzeczy, które nieustannie i bezkarnie krzywdzimy, a opinia nie piętnuje tych postępów, ona znajduje tylko słowa potępienia dla wykroczeń przeciw życiu i własności. Bądźcie głębokie poszanowanie godności własnej i cudzej, to najkrótsza droga do przeprowadzenia reform społecznych i obyczajowych.

Przemówienie to zakończyło wiec, którego ciąg dalszy oznaczono na następną środę,

Z. B.



PRZEGLĄD MUZYCZNY.



Opera: „Don Juan“ Mozarta.—Filharmonia: „Cztery pory roku“ Haydna.—Występy Isadory Duncan.—Towarzystwo Muzyczne.

Rok bieżący Warszawa rozpoczęła pod znakiem muzycznego klasycyzmu. Jak gdyby pragnąc dać wypoczynek nerwom skolatanym miłośników naszych, którzy w roku ubiegłym zaznali nie mało emocji od dysharmonii wszelkiego rodzaju, obie główne instytucje nasze muzyczne—Opera i Filharmonia sięgnęły do skarbnicy natchnienia mistrzów dawnych, tych, którzy pogodę w sercu nosząc, muzyce swej czarowne piętno dziwnego spokoju i ukojenia nadać umieli. W wieczór Sylwestrowy usłyszeliśmy z estrady Filharmonii arcydzieło Haydna, oratorium „świeckie“ p. t. „Cztery pory roku,“ w tydzień zaś później rozkoszować się mogliśmy wznowionym na scenie Wielkiej „Don Juanem“ Mozarta.

Lat 120 mija od chwili, gdy ujrzało światło dzienne jedno z największych arcydzieł w literaturze muzycznej wszechświatowej, „opera nad operami,“ jak ją obecnie ludzie nazywać zwykli, „Don Juan.“

Wystawiona w roku 1787-ym po raz pierwszy w Pradze Czeskiej, opera wielkiego geniusza muzycznego, przyjęta została od razu przez muzyczny ogół czeski z wyróżnieniem, co stanowiło jeden z niewielu promieni jaśniejszych w życiu jej twórcy, życiu, jak wiadomo, tak smutnem, obfitującym w tyle zawodów, cierpień i przeciwności, że stanowić ono winno wieczny wyrzut sumienia dla społeczeństwa, którego ojcowie tak się z chlubą wieku całego obeszl.

Po pierwszych jednak chwilach uznania dla „Don Juana,“ nastąpiła dlań czasy cięższe. Liczni przeciwnicy Mozarta, dla których wszystko, co on napisał, było „poronieniem, przesadnym, barbarzyńskim,“ nie omieszka-

rozpocząć kampanii przeciwko nowej operze. Całe rzesze krytyków niesumiennych zaczęły urabiać „nastój niechętny, zarówno wśród warstw szerszych słuchaczy ówczesnych, jak i w sferach artystycznych. Że tak było, dowodzi choćby fakt wystawienia „Don Juana“ w Warszawie w roku 1789-ym przez trupę włoską pod imprezą Guardazoniego, który — jak o tem głosił afisz współczesny — osądził za rzecz potrzebną dać operę w przeróbce, „aby ją uczynić przyjemniejszą“ (sic!).

Potęga jednak geniuszu okazała się rychło silniejszą od knozań nieprzyjaciół nieśmiertelnego mistrza tonów. Ledwo lat kilka upłynęło od śmierci Mozarta, a sława, ta wielka, napróżno przezeń za życia oczekiwana, nimbem promiennym pamięć jego okryła.

W tym płaszczy, z blasków tkanym, dzieła Mozarta zaczęły ukazywać się oczom światła zdumionego w innym zgoła świetle, zwłaszcza najwspanialsze z nich—„Don Juan.“ Już nikt nie ważył się zmieniać czarownych jego melodyi, dla „uczynienia ich przyjemniejszymi;“ przeciwnie, poszanowanie, graniczące z pietyzmem, stało się odtąd niejako katechizmem dla wykonawców, ogół zaś muzyczny słuchać zaczął dzieła z zachwytem niekłamnym, z dnia na dzień wzrastającym. Cały wiek XIX-ty — to jeden wielki tryumf dla opery Mozarta, która świat cały obiegała, spotykając się wszędzie z uznaniem zarówno fachowców, zwolenników wszelkich szkół i kierunków w muzyce, jak i niezliczonych laików muzycznych.

Że ten tryumf trwa nadal, że dla słuchaczy dzisiejszych czar muzyki Mozartowskiej nie stracił dotąd upajającego swego uroku, dowód najlepszy stanowi chociażby wznawienie obecne „Don Juana“ na scenie warszawskiej: wystawiona bez żadnych „gwiazd,“ wyłącznie siłami miejscowemi, w oprawie zewnętrznej nader skromnej, opera wielkiego twórcy stale zapełnia salę teatralną po brzeży publicznością, przyjmującą arcydzieło z zapałem istotnym.

Rzecz prosta, iż wobec potężnych środków kolorystycznych, któremi posługuje się współczesna technika kompozytorska, niektóre barwy, używane przed stu dwudziestu laty przez Mozarta, nie są zdolne już zaimponować słuchaczowi dzisiejszemu, zarówno jak nie mogą bardzo często zadowolić wymagań tegocześniejszych formy poszczególnych ustępów muzycznych, budowa całości, tudzież sposób ilustrowania dźwiękami nastrojów i czynów.

Koloryt jednak orkiestrowy, formy, architektonika dzieła i t. p., muszą zejść na drugi plan wobec zalet, jakie nie przestają jaśnieć w partycy „Don Juana“ blaskiem olśniewającym. Zaletami temi głównie są: styl pełen wdzięku przezystego i szlachetności podniosłej, melodyjność natchniona i słodka, wpływająca ze skarbnicy uczuć, zaklętych w duszy nieśmiertelnego piewcy, wreszcie nadzwyczajna prawda, szczerłość i prostota w wypowiedzeniu się mową tonów, a wszystkie one sprawiają, że opery Mozarta słuchać można i obecnie z prawdziwą, a niezwykłą rozkoszą.

„Don Juana“ przygotowano bardzo starannie, co wraz ze sprawą samego wznawienia opery, należy zapisać na miejscu wybitnem w rachunku zasług reżyserskich p. Chodakowskiego. Na uznanie rzetelne zasługują również czynniki wykonawcze, zarówno solowe, w osobach pań: Boguckiej, Mroczkowskiej i Tracikiewiczówny, oraz pp. Grąbczewskiego (rola tytułowa), Ostrowskiego, Dylińskiego i Tarnawskiego, jak i zbiorowe: chóry i orkiestra, pod kierunkiem dyrektora Podestiego.

To samo, cośmy nadmienili powyżej o wartości opery Mozarta, da się powiedzieć i o oratorium Haydna, wykonaniem w Filharmonii. I tu barwy, używane przez kompozytora w momentach siły lub grozy, nie wywołują wstrząszeń na słuchu naszym i nerwach, przywy-

kłych do efektów jaskrawych, nieraz gwałtownych, dzisiejszej kolorystyki muzycznej.

Niemniej jednak pomimo biegu lat, znakomite dzieło Haydna zachowało dotąd tyle świeżości ujmującej, tyle humoru pogodnego, tyle werwy młodzieńczej (pomimo, że kompozytor, pisząc je, liczył wtedy siedmdziesiąt lat życia), jego obrazowość świetna technicznie w tak wysokim stopniu polotem szczerym i stylową wytwornością smaku, że słuchając partycyi, zapomina się w zupełności o jej wieku.

A wiek to poważny, gdyż wynosi sto i sześć lat. „Cztery pory roku“ pojawiły się w roku 1801-ym, wywołując w ówczesnym świecie muzycznym prawdziwą sensację, a w kołach konserwatystów zatwardziałycho sporo niechęci. Purytanie przesadni stylu muzycznego nie mogli pogodzić się z pojęciem i określeniem „oratorium świeckiego“, czynili mnogie zarzuty autorowi za to, że pozwolił sobie naśladować za pomocą instrumentów różne dźwięki przyrody, poczytywali za ujmę dla sztuki pogodny realizm sielski dzieła i t. p.

Wbrew jednak wywodom tych przeciwników oryginalności, oratorium Haydna właśnie dzięki tej oryginalności ekspozycy, pomysłów i efektów, przetrwało lat tyle w zdrowiu dobrem i po dziś dzień nie straciło nic ze swej siły żywotnej i przyciągającej, jak o tem przekonać się można było dowodnie, chociażby z obecnego wykonania jego u nas. Publiczność nasza, słuchając „Czterech pór roku“ w całości po raz pierwszy, przyjęła arcydzieło muzy Haydnowskiej z wyróżnieniem istotnym, niektóre zaś z ustępów, posiadające oddawna utrwalony rozgłos w całej Europie, potrafiły wywrzeć na naszych miłośnikach sztuki wrażenie bardzo głębokie i silne.

Piękne dzieło przygotował z pietyzmem wyborny znawca repertuaru klasycznego, dyrektor Noskowski, któremu za tę dbałość, jak również za zaznajomienie ogółu naszego z jedną z najcenniejszych pereł literatury muzycznej należy się uznanie jak największe.

Po za wystawieniem oratorium Haydna, nie wiele da się powiedzieć o działalności Filharmonii naszej, jako instytucy muzycznej w okresie sprawozdawczym. Występy pianistów Śliwińskiego i Melcera, skrzypka Manena, kilka udatnych wieczorów mistycznych i popularnych, wreszcie wykonanie nieznannej, a ładnej symfonii Raffa, p. t. „Zima“, oraz kilka drobniejszych kompozycy Sibeliusa, Korsakowa i Wolffa—oto wszystko, co można zapisać na dobro bilansu artystycznego Filharmonii. Po za tem w przybytku, poświęconym sztuce tonów, prawie przez cały miesiąc panował kult zgoła inny, a to za sprawą Izabely Duncan, która objęła we władanie niepodzielnie estradę koncertową przez cały szereg wieczorów.

O stronie technicznej popisów rozgłosnej „reformatorce tańca“, jako nie specjalista od choreografii, rozpisywać się nie będę, gdyż przekracza to granice mojej kompetency. Mogę jedynie zdać sprawę z wrażeń odniesionych, czysto zewnętrznych, a te do zbyt silnych i trwałych nie należą. Popisy Duncan obecne nie różnią się niczem od dawniejszych: te same pląsy, niekiedy lekkie i powiewne, często jednak dość niezgrabne i ociężałe, tych samych kilka póź, powtarzających się z nużącą jednostajnością, te same ładne i elastyczne ruchy rąk, ten sam wreszcie brak wyrazu na twarzy.

Jako sprawozdawca muzyczny, muszę zaznaczyć nadto, że kilkakrotnie zauważyłem u nienadobnej Amerykanki pewne braki w muzykalności. Oto w walcach i paru mazurkach Chopina, Duncan, przyzwyczajona do tańca pod takt wykonawców zagranicznych, traktujących utwory mistrza naszego z dokładnością metronomiczną, nie umiała niekiedy radzić sobie ze zmianą rytmu, stosowaną, jak być powinno, przez pp. Noskowskiego i Cielewiczę, i zataczała często kółka, nie odpowiadają-

jące ani tempem, ani rytmiką, t. j. poprostu tańczyła mechanicznie bez taktu. Wobec tego dość dziwnymi wydają też się zapewnienia fanatycznych wielbicieli bosonogiej tancerki, jakoby komentowała ona właściwie pomysły kompozytorskie wielkich muzyków. Czyż osoba, tańcząca mechanicznie, daje gwarancję należytego wyczuwania ducha, nastroju i charakteru „odtworzonej“ kompozycy? Mnie bo się widzi, że nie daje.

Na zakończenie kilka słów o działalności Towarzystwa Muzycznego. Najstarsza nasza instytucya, zatopiona w działalności pedagogicznej (nb. bardzo owocnej), nie wystąpiła z żadnym koncertem w okresie sprawozdawczym, urządziła natomiast bardzo ciekawy konkurs muzyczny na „kwintet z fortepianem“, w którym walczyło kilka młodych zespołów artystycznych. Palmę pierwszeństwa otrzymał dobrze już zgrany i z zapałem traktujący swe zadanie kwintet „damski“ w osobach pań: Nawroczyńskiej (fortepian), Krakowskiej i Hejfic (skrzypce), Trypolskiej (altówka) i Starkiewiczowej (wiolonczela).

St. Dziadulewicz.



Sztuka i literatura zagraniczna.



* Ciekawe szczegóły o rozwoju chińskiego teatru podaje pan Charles Petit w paryskim „Temps'ie.“ „Teatr chiński ma przeszło 4,000 lat; istniał on, zanim Grecya posiadała swą nazwę. W chwili swego powstania teatr chiński miał szczególne zamiłowanie do cudów i do prostoty. Każda występująca osoba była istotą z bajki i ucieleśniała namiętność, cnotę, lub występpek. Dobre było ściśle od złego odłączone, jak piękno od brzydoty. Bóg przynosił szczęście, lub nieszczęście, bohater miał wszystkie cnoty, lub był uosobieniem wszystkich występzków. Charakterów skomplikowanych, t. j. ludzkich, nie było nigdy. Takie tradycje zachowywał teatr chiński całe wieki, aż klasy możne uprzykrzyły sobie wiecznych bogów, wiecznych bohaterów: widz niewykształcony, który nie z tych nadzmysłowych sztuk nie rozumiał, bawił się daleko lepiej minami, jakie stroił jego sąsiad i stąd powstała farsa. Ewolucya teatru chińskiego była zupełnie logiczna. Na scenie, półbogi legendowe zastąpiono bohaterami, którzy istotnie żyli, czyli inaczej mówiąc, teatr zrobił się historycznym. Były to narodziły tragedyi: długie, wierszowane monologi i bombastyczne deklamacye dawano naprzemian z chórami, a i muzyka w tych sztukach grała wielką rolę. W dalszym rozwoju tych widowisk zdarzało się, że bohaterom dodawano osoby z niższej sfery, jako to: służących lub zaufanych, i wkrótce ukazali się na scenie wraz z cesarzami i książętami: mieszczanie, mandaryni, studenci, lekarze, kupcy, a wreszcie i lud: chłopci i rzemieślnicy. Na tem był koniec rozwoju. Zrodziły się dramaty i komedya: wystąpiły na scenę wszystkie klasy społeczne z ich obyczajami i nawykami. W XIII-ym wieku po Chr. autorowie chińscy rozprawili się już ze wszystkimi rodzajami sztuki dramatycznej. Biblioteki chińskie zapełniają dziś tysiące sztuk

i można twierdzić, że teatr żółtego świata daleko wyprzedził nietylko pod względem ilości sztuk, ale i pod względem jakości teatr białego świata. Główną zasadą sztuki dramatycznej chińskiej jest apoteozowanie cnoty i prawdy. Każda sztuka, która nie ma tendencyi moralnej, albo nie kończy się sensem moralnym, zabroniona jest przez prawo chińskie. Chińska księga prawa karnego zawiera straszne paragrafy dla autorów, wysławiających występpek, albo zmienne słabostki ludzkie. Nie należy jednak stąd wnosić, że na scenie chińskiej nie ma łotrów lub występku. Przeciwnie, realizm dochodzi tam nieraz do pornografii. Ale musi być w sztuce jakaś specjalna osoba, piętnująca występpek. Ta „specjalna osoba“, gra do pewnego stopnia rolę chóru z greckiej tragedyi, lub rolę rezonera z francuskiego romansu obyczajowego; komentuje wypadki, które się rozgrywają na scenie i wyciąga z nich mądre wnioski i filozoficzne nauki.

* W teatrze Pergola we Florency wystąpiła po raz pierwszy w nowej sztuce, dla siebie napisanej, Eleonora Duse, która nie grała nowej roli od „Francesci da Rimini“ D'Annunzia. Autorem tej sztuki p. t.: „Maria Salvestri“ jest znany dramaturg Enrico Corradini. Dramat, pomimo braków technicznych, zdobył sobie uznanie. Pietro Salvestri kocha swoją żonę, dumną, namiętną, która ocenia jego zalety, ale kocha poetę, Daria Teodori, którego namiętnej miłości oprzeć się nie może. Mąż nie podejrzewa zdrady. W sąsiednim domu rozegrywa się dramat; trzy wyż. wymieniono osoby przypatrują mu się z okna: mąż zastał niespodzianie żonę w objęciach kochanka, zabija ją i goni uciekającego: Marya mdleje, mąż i kochanek spoglądają na siebie i Salvestri odgaduje prawdę. Dario opuszcza dom nazawsze; Pietro przebacza jej i wyjeżdżają oboje w długą podróż szukać zapomnienia. Pietro kocha Maryę bardziej, niż kiedykolwiek, ona jednak zniecierpliwiła go za to, że jej przebaczył. Nie chce żyć, jako pokutująca grzesznica, kiedy dotąd była królową. Ze wstrętem poddaje się pieszołtom męża, poddaje się z obowiązku. Ma zostać matką. Pietro wierzy, że dziecko zmaże całą przeszłość, ale ten fakt właśnie doprowadza do strasznej sceny: „Nie miałeś prawa mi przebaczać,—woła Marya,—nie wolno ci było czynić niewolnicy z mej duszy i mego ciała.“ „Tylko miłość do dziecka nie pozwala mi zabić cię,“—mówi Pietro, który teraz dopiero zrozumiał całą głębię nienawiści żony. Powstaje walka między małżonkami, opuszczają scenę—rozlega się straszny okrzyk Maryi; Piotr nieprzytomny z wściekłości wyrzucił żonę za okno. Postać Maryi w interpretacyi Duse wywarła na widzach niezwykle wrażenie.

* Niepospolita autorka niemiecka Ricarda Huch, napisała pierwszy tom z cyklu, którego bohaterem jest Garibaldi, p. t.: „Die Verteidigung Rom“ („Obrona Rzymu“). Autorka sama nazywa to powieścią, jest to jednak raczej epos prozą, zadziwiająco wiernie przedstawiający ludzi i fakty, owiany przytem technieniem rzetelnej poezyi. Opowiadanie po niezmiernie prostym, krótkim, a poetycznym wstępie, zaczyna się po prostu od słów:

„W lecie r. 1846-go, kardynał Mastai pod imieniem Piusa IX-go wstąpił na tron Stolicy Apostolskiej.“ I potem opisuje oblężenie Rzymu w roku 1848 ym i bohaterów, którzy go bronili. Widzimy Garybaldezyków na wałach, Oudinot'a, walkę pod Równą; wszystko opisane silnym, prostym, a pełnym poezji stylem. Jako motyw przewodni, który snuje się przez całą tę pierwszą część eposu Garibaldińskiego, brzmią wyrazy, które Garibaldi wypowiedział po walce z żołnierzami papieskimi, odpoczywając pod cieniem drzewa figowego: „Wojna jest przekleństwem boskiem, spełnionem na ludziach, za ich grzechy, wynaturzenie; kiedyś, gdy Włochy będą wolne, pogrzebiemy miecze nasze w ziemi, kupimy sobie obszar nad morzem, zabudujemy go, siądziemy wieczorem nad wybrzeżem, i przypatrywać się będziemy przychodzącym i odchodzącym statkom.“ Ów pierwszy z cyklu cieszy się w Niemczech wielkim powodzeniem i przetłumaczony już został na język włoski.

* Wielkie powodzenie miała w Rzymie wystawiona świeżo w teatrze Argentina, sztuka ulubiona publiczności włoskiej, Roberta Bracci „I fantasmi“ („Widma“). Treść sztuki da się w krótkości opowiedzieć. Saimoudr, sławny medyk, zazdrosny jest o żonę swoją bez powodu. Namętność jego dochodzi do największej potęgi, wobec tego, że chory jest nieuleczalnie i śledzić może postępy strasznej i niszczącej choroby. Śledzi badawczym, okrutnym okiem zarówno chorobę swoją, jak żonę i jej otoczenie. Odkrywa, że jego pierwszy asystent zakochany jest w jego żonie. Po przeprowadzeniu śledztwa przekonywa się jednak, że żona niczego się nie domyśla, wie też, że rywal, przez cześć dla niego, prawdy jej nie odkryje. Sam to jednak mówi żonie i zmusza ją do przysięgi, że nawet po jego śmierci wierną mu będzie. Umiera. Asystent opuszcza Włochy, wdowa poświęca się uczynkom dobroczynnym. Nie znajduje jednak spokoju — „Widmo“ zmarłego prześladowa ją wszędzie, a rodzi się tymczasem miłość dla żyjącego, którego matka błaga, aby go wysłuchała. Udęczona, walczy ze sobą. Młody człowiek ostatecznie postanawia zaciągnąć się do ekspedycji afrykańskiej, z której zapewne już nie wróci. Matka po raz ostatni zjawia się u wdowy, błaga o zmiłowanie nad synem — już, już zdecydowana jest pójść za ukochanym, gdy naraz widmo zmarłego staje przed nią i z okrzykiem: „Nie mogę, nie mogę“ — pada na ziemię. Bohaterów Ibsena

w „Upiorach“ jego prześladowają „widma przeszłości“ — bohaterkę Bracci dręczy „widmo przyszłości.“ Publiczność gorąco oklaskiwała doskonałą sztukę.

m. l.

Chwila bieżąca.

— Rada ministrów na posiedzeniu z dnia 18-go z. m. ukończyła rozpoznawanie zasad, które mają tworzyć podstawę zreformowania zarządu miejscowego.

— Ruch maryawicki jest na wygaśnięciu. Kaplica przy ulicy Elektoalnej jest zamknięta, w Płocku uciekło cichaczem pięć panierek. Kozłowska przed wyjazdem dała upoważnienie do sprzedaży jej posesyi. W Łodzi odbywają się zajęcia na tle rachunków pieniężnych, gdyż mając zamiar wystawić dom modlitwy, zaciągnięto drobne pożyczki, obiecując zwrot po wybudowaniu. Część księży maryawitów udaje się do Rzymu, aby się upokorzyć. Jeden z pierwszych jedzie tam ks. Roztworowski.

— „Ziemia Lubelska“ zwraca uwagę Towarzystwa Hygienicznego na szkodliwy zwyczaj odnoszenia zwłok dziecięcych na cmentarz przez rówieśników. Ponieważ niema takiej pory, aby dzieci nie chorowały na szkarlatynę, dyfteryt, koklusz, ospę i t. p., więc dzieci zdrowe powinny unikać zbliżania się do umarłych na zakaźną chorobę.

— W Piotrkowie zaczął wychodzić tygodnik pod tytułem „Ziemia Piotrkowska.“ Redaktorem i wydawcą jest p. Cz. M. Zaremba.

— Na Wołyniu, w Dubnie, jeden z sędziów przysięgłych, hr. A. Dunin-Karwicki, odmówił przysięgi w języku rosyjskim, podczas kadencji łuckiego sądu okręgowego. Sędzia starał się skłonić p. D.-K. do poddania się „prawu.“ Gdy ten odmówił, sąd wykluczył opornego z grona sędziów i skazał na zapłacenie kary w kwocie stu rubli.

— „Utro“ pisze: Korespondent „Daily Telegraphu“ donosi z Petersburga, że policja postanowiła poodcinać głowy straconym terrorystom i zachować je w spirytusie, celem stwierdzenia tożsamości. Od chwili zamachu na Stolypina, zauważono, że wszyscy wykonawcy zamachów niszczą na ubraniu swem wszystkie znaki, po których możnaby ich było poznać, i że w kieszeniach ich nie znajdowano nic, prócz pieniędzy i naboju. Terrorysty, jak się zdaje departamentowi policji, przyjęli następujący system: do miasta, w którym ma być wykonany zamach, przyjeżdżają w przeddzień zamachu, by nie zostawić śladu, pozwalającego stwierdzić ich osobistość, przyjeżdżają zaś przeważnie ze Szwajcaryi.

Wiadomość tę podajemy na wiarę dziennika rosyjskiego.

— „Nowoje Wremia“ podaje, iż w nocy dnia 14-go z. m. aresztowano w Petersburgu 70-ku terrorystów. W ręce policji dostała się korespondencja, plany przygotowanego powstania zbrojnego na wzór Moskwy. Chciano skorzystać ze świątecznej pory i nieobecności w Petersburgu niektórych oddziałów wojskowych i przez szereg zamachów, wywołać panikę w sferach rządowych. Plan się nie udał, gdyż przywódcy organizacji terrorystycznej zostali aresztowani.

— Zamiast postępu, ludzie dochodzą do zdziczenia. Oto co pisze „Niżegorodskij Listok.“ Do Bugrewskiej starowierczej pustelni przyjechało kilkunastu rabusiów. Spostregli to, chłopci z okolicznych wiosek i uzbroiwszy się w cepy, widły, siekiery i strzelby myśliwskie, rzucili się na odsiecz pustelni. Rabusie zaczęli uciekać, lecz chłopci dopędzili ich, rozpoczęli nad nimi sąd doraźny. Wylamywali i wykrecali im ręce, miażdżyli nosy, połamali szczęki. Zabito ogółem dziewięciu rabusiów, ale nie odrazu, przedtem znęcano się i męczono ich strasznie.

— W roku ubiegłym udało się przez Czelabińsk na Syberję przesłać 21,857 rodzin i 75,778 „chodziców.“ Powróciło z Syberji w roku ubiegłym 2,530 rodzin i 6,070 „chodziców“ t. j. wychodźców.

— Zaczęło wychodzić nowe pismo w języku litewskim. Dziennik nosi tytuł „Skardas“ („Dzwon“).

— We Lwowie w połowie Stycznia odbył się zjazd delegatów robotników chrześcijańskich z całego Królestwa Polskiego, przy udziale przeszło dwustu delegatów.

— Donoszą nam z Poznania o zwycięstwie posłów polskich, których liczba dochodzi już 22-ch, zapewne przybędzie jeszcze paru z wyników głosowań ściślejszych. Głosów polskich oddano obecnie 430,000, gdy na poprzednich wyborach 347,000.

— W Berlinie utworzył się syndykat fabryk łódzkich o kapitale 200 milionów marek i personelu robotniczym 30,000 ludzi. Celem syndykatu jest usunięcie wzrastających wymagań robotników, bezrobocia, żądania podwyższenia zurobku.

— W ubiegłym tygodniu złożono do grobu ś. p. *Maryę z Suchorzewskich Łabęcką*, zmarłą w wieku lat 79.

Zmarła łączyła cnoty zacnej niewiasty z dobrocią wielką dla wszystkich ją otaczających, szczery też i szeroki żal towarzyszył jej na wieczny spoczynek. Osierociła cztery córki i jednego syna.

— Złożono w Administracji naszego pisma:

Dla głodnych.

P. J. Niepokojczyńska rubli 8. (Sumę tę tę odesłaliśmy do redakcji „Kur. Warsz.“)

Treść numeru:

Od Redakcyi. — Lud zaczyna mówić, przez Stanisława Poraję. — Bez celu, powieść, przez Maryana Gawalewicza (ciąg dalszy). — Z doby obecnej, przez Stefana Gorskiego. — Skryte posępem trumiennego wieka., (wiersz), przez W. Domańskiego. — Wiec Matek, przez Z. B. — Przegląd muzyczny, przez Stanisława Dziadulewicza. — Sztuka i literatura zagraniczna, przez m. l. — Chwila bieżąca. — Ogłoszenia

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 4* nowo Guy Chantepleure'a p. t. „Przygoda panny Heni,“ w przekładzie Zofii Sok, oraz arkusz 4-ty tomu II-go powieści Maryi Adams p. t. „Wyznania kobiety,“ w przekładzie Gustawy Gawalewiczówny.

Dodatek: Opisy ubiorów i robót z rycinami. — Przepisy kuchenne, oraz Tablica krojów.

OGŁOSZENIA.

Cennik Nasion i Cebulek kwiatowych
Zakładu Ogrodniczego na rok 1907
BRACI HOSER
Warszawa, Jerozolimska 59
wyszedł z druku i wysyła się na każde żądanie gratis i franko.

Szkło, porcelana
➔ **Majolika, Terrakota i t. p.**

poleca tanio

PIERZCHALSKI Mazowiecka 8.
Wielki wybór przedmiotów do użytku domowego jako też i do ozdób mieszkań.

Towar solidny. — Ceny stałe.

Herman & Grossman

Warszawa,
Mazowiecka
Nr. 16.
Telefon 555.

Fortepiany, fabryk krajowych i zagranicznych
Pianina i Organy w wielkim wyborze

Petersburg
Moskwa.

SPRZEDAŻ NA ROZ-
PŁATY MIESIĘCZNE
PO 25 RUBLI.



WYNAJEM WYBOROWYCH
INSTRUMENTÓW.

ANGELUS — ORCHESTRAL
PIANINA
„CROWN” — „SYMPHONY”

Cenniki ilustrow. gratis.

Pracownia i Kursa Mozajki i intarsyi artystycznej

ul. Wspólna № 47^A, m. 3, w Warszawie.

Pracownia przyjmuje obstatunki z zakresu meblarstwa, dekoracji ściennej i galanterii. — Kursa rozpoczynają się w Styczniu 1907 r. obejmować będą mozaikę drzewną, metalową, z kości słoniowej, perłowej masy i szylkretu. — Kurs roczny liczy się od zapisu uczennicy. — Szczegółowych objaśnień u ziela się na miejscu lub listownie.

SZKOŁA KROJU Leopoldyny Skwareckiej

egzystująca od r. 1888
odznacz. Dyplomem Paryskim na wystawie pracy kobiet „Za fason i przygotow. dobrych pracownic”
Przeniesiona z Placu św. Aleksandra na **MARSZAŁKOWSKĄ 99**.
Kursy cechowe i prywatne. Wykład w 4 językach. Pensjonat. Przy szkole pracownia sukien oraz specjalny dział przykrawania i fastrygowania z materiałów sukien i okryć z dopasowaniem podług figury w cenie od 60 kop. do 2 rb.

Piękność!

Masażystka twarzy: odmładza, usuwa zmarszczki, przyszcze, odświeża momentalnie cerę na bale. Przyjmuje 3—7, ucześnie do domów. Tam również masaż karku dla podbudzenia energii u osób apatycznych. **Wronia 64—3.**

3 Medale Złote

Niema zimnych i wilgotnych mieszkań

jeśli obsadzić w piecu
MULTYPLIKATOR OGRZEWANIA

Pat. Gasselseder & Niemczek i Klobukowski
ogrzewa pokój w 30 min. do samej podłogi,
PIECE ŻELAZNE MULTYPLIKATOROWE OSZCZĘDZA do 50% opału
nie wydzielają swędu, utrzymują ciepło 8 g. po napaleniu
Pochlebne zaświadczenia, prospekty i cenniki mult. wysyła się na żądanie.
Tel. 1502. Biuro Techniczne Dr. W. P. KŁOBUKOWSKI. inż. chem. Al. Jerozol. 71

C. LESKI

Marszałkowska № 143, —1-sze piętro front.

**ZAKŁAD KARBOWANIA
i PLISOWANIA FALBAN, SUKIEN
i KORONEK.**

Karbowania fantazyjne, najnowszych de-
seni. Plisowania przeszło lokieć szerokie.
Wycinanie przeróżnych ząbków maszy-
ną. Wykonanie staranne i prędkie.

Zakład leczniczy dla chorych
na oczy

D-ra Stanisława Kaczkowskiego
ST. ORDYNATORA kliniki okulistycznej
w szpitalu Dzieciątka Jezus.
Przyjęcie chorych w ambulatorium od 9
do 11 r. i od 5 do 7 w.
BRACKA 20, telef. 37-38.

Nowo-Otworzone
Pokoje umeblowane
Warszawa, Chmielna 17.
Numera od 90 kop. z opałem.
Wygody, dobra usługa.

Zegarmistrzowska pracownia
JANA JEZNACKIEGO
Długoletniego pracownika p. Woronieckiego
Aleksandrya Nr. 15.

W każdym domu polskim i katolickim
powinna być pieśń

My chcemy Boga,

ze śpiewem i muzyką układu
Ks. Paczuskiego. Cena egzemplarza
z przes. poczt. 50 kop. Adres:

Warszawa, ul. Wiejska 19.
Ks. Paczusi.

**Cechowa Szkoła
Kroju i Szycia
Czarnowskiej**

Hoża 38, m. 2
wyucza najnowszą metodą francuską
tamże
Pracownia Sukien **oraz**
Kostjumów
robota wykwiłtna.



MAŁECKI

FABRYKA FORTEPIANÓW I PIANIN
Piękna Nr. 1 (róg Al. Ujazdowskiej) tel. 17065.

SANATOGEN



Wszystkim osłabionym, wycieńczonym,

z denerwowanym i pozbawionym energii
życiowej przywraca siły i chęć do życia

SANATOGEN BAUERA

Pochlebne opinie więcej niż 3600 lekarzy
i profesorów. — Dostać można we wszyst-
kich aptekach i składach aptecznych. Wy-
strzegać się bezwartościowych naśladownictw.
Prawdziwy tylko w opakowaniu rosyjskiem.

Broszury gratis i franco wysyła S. KARCZEWSKI, Warszawa,
Nowo-Senatorska 4.

Nowość dla Dam. Warszawska Pracownia

Przyjmuje gładkie plusze do wyciskania na kasztanki.

„Plisse”,
„Soleil”,
„Vateau”,
„Triumphant”,
„Eblouissant”
na suknie

oraz nowości na
Mantylki
i Falbany.

O kroju sukien do-
wiedzieć się można
w pracowni.

Przyjmuje **Rurkowa-
nie, Karbowanie, Pli-
sowanie i wycinanie
ząbków. Dekatyzuje
sukna i korty nie za-
mieniając polsku),
po cenac
przystęp-
nych**



H. BLAUFELD

WARSZAWA, Nalewki 9, m. 20,
Telefon 170-37.

LEOPOLD BELOW

Art. Rzeźbiarz

ulica Marszałkowska 79
W WARSZAWIE.

Wykonywa figury, obrazy, portre-
ty, pomniki i t. p. — również podej-
muję się różnych przedmiotów sztuki
Reprodukcyjnej (Dekoracyjnej)
oraz odnawiania Kościołów i Pała-
ców.



Maszyny do szycia najdo-
kładniej reperuje tania i su-
miennie, trzyletnia gwaran-
cja piśmienna. Sprzedaż ma-
szyn nowych i używanych,
wszystkie części na składzie.
Jan Fortuński, Marszałkow. 86, Tel. 179.85.

Maszyny do szycia

z pierwszorzędnej i renomowanej fabryki
odznaczające się niezwykłą trwałością,
wzorową konstrukcją i gustownem wy-
kończeniem, poleca b. tanio

T. TETZLAFF, Królewska № 45,
miesz. 10, prawa oficyna, parter.

Szkoła Kroju i Szycia

Apolonii Kopydłowskiej
dyplomowanej uczennicy Szkoły Pary-
skiej. Nauka gruntowna. Wydaje patenty.
Kurs wieczorny. Pensjonat.
Hoża 50, m. 1.

ORIGINALNE AMERYKAŃSKIE

MASZYNY DO SZYCIA

„Kompanja KEMPISTY-KASPRZYCKI”



Standard Sewing Machine

New-York U. S. A. WARSZAWA,

Marszałkowska 127 w podwórzu

Tamo, gdyż bez kosztów obsługi.

DLA KUPCÓW!

Wielki wybór kart pocztowych,
a także latarki elektryczne i różne
nowości poleca

Skład nowości S. Justman
Długa 27.

MECHANIK z długoletnią praktyką

E. Z. PAWLIKOWSKI

specjalna reperacja maszyn do szy-
cia, Wyżymaczek, Maszynek Primus.
Najtaniej. Gwarancja. Kruca 48 róg
Alej Jerozolimskiej. Telefon 187—82.

Pamięć

rozwija i wzmacnia osobiście
i zaoecnie i usuwa roztar-
gnięcie Mnemonista Prof. H. Sztoch, War-
szawa, Marszałkowska 119. Broszura (32
stron.) wysyła się po otrzym. 7 kop. marki.
Przyjm. do 10 r. i 5—6 w. Telef. 23—85.

P. Zofja Nesleda-Mingardi

(uczennica Reszków)
udziela lekyi śpiewu, sceny i włoskiego
języka.

Wileza 32, m. 17.

KUCHARZ

wykwalifikowany, wynajmuje się na
wesela, bale, wieczory, polowania,
wykonywa zadawalniająco i tanio
w Warszawie i na prowincyi.

Mokotowska 53, m. 21.